



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

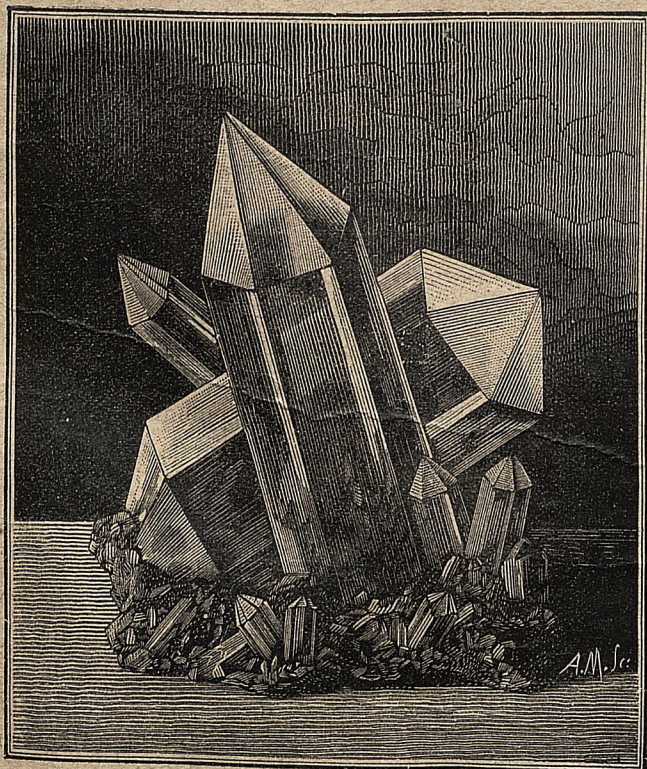
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## Martwe i żyjące twory.

POGADANKA NAUKOWA.

Czém się różni minerał od rośliny lub zwierzęcia? Pytanie to może się wam śmieszne wyda, bo przecież nic łatwiejszego, jak odróżnić ptaszka, chrabąszcza, różę, liść paproci, od kamyków i grudek ziemi. Niezawodnie, lecz niedość na tém, trzeba umieć tę różnicę określić dokładnie, wyjaśnić, wytłómaczyć. Wiele jest rzeczy, które niby to doskonale rozumiemy, a jednak, gdybyśmy poprobowali zdać sobie sprawę z tego przekonania naszego wewnętrznego, wyrazić je słowami, ażeby przekonać kogoś innego, nieraz bylibyśmy w kłopotcie.

Tak też i z owém pytaniem, któreśmy wypisali na początku. Weźmy naprzykład szary kamyczek lub grudkę gliny i szary bezkształtny grzyb, który na pniach drzew wyrasta. Tu już różnica wcale nie jest tak wybitna i uderzająca, i nie każdy potrafiłby zaraz na prędce powiedzieć, dlaczego ten grzyb nie może być zaliczony do tworów martwych, do królestwa minerałów? Wiemy wszyscy zapewne, że grzyb jest rośliną, a więc żyje, lecz na czém właściwie to życie jego zależy, czém się różni od istnienia martwej grudki ziemi? Ażeby na to odpowiedzieć jasno, trzeba się już troszkę zastanowić.



Kryształ górny.

Twory żyjące, rośliny i zwierzęta, odznaczają się przede wszystkim właściwymi sobie kształtami. Roślina pewnego gatunku zawsze ma jednakowe liście i kwiaty, żyjątko z jednokowych członków jest złożone. Każda taka istota żyjąca stanowi odrębną całość. Odlamana lodyga, odcięty liść, jest tylko częścią całkowitej rośliny; tymczasem kamyczek, oderwany od ogromnej skały, niczem się od niej nie różni, mała bryłka gliny może być do większej przyklepiona, nie zmieniając jej w niczem.

A jednak i minerały w pewnych warunkach przybierają także odrębne, właściwe sobie postaci. I tak naprzykład sól utłuczona na proszek nie ma żadnego kształtu, lecz taż sama sól, rozpuszczona w wodzie, tężeje po wyparowaniu wody i przybiera wówczas kształt bardzo regularnych sześciaków. I inne minerały mają tę własność, to się nazywa krystalizacją. Piękny przykład krystalizacji przedstawia minerał, zwany kryształem górnym, który na rycinie naszej widzicie. Jest to krzemionka czyli kwarc bardzo czysty. Taka postać nazywa się graniastosłupem o sześciu ścianach, a zakończenie zaostrome u góry i u dołu ostrosłupem sześciennym. Kryształy te mogą być małe lub ogromne, zawsze jednak mają ten sam kształt geometryczny, nadzwyczaj foremny, jeżeli nie są uszkodzone jakimś przypadkowym sposobem.

Ażeby kryształ wytworzył się z jakiej substancji, musi ta substancja być wprzód roztopiona lub rozpuszczona w wodzie, gdyż w takim stanie drobne cząsteczki, z których każde ciało się składa, zupełnie są rozproszone, oddzielone jedna od drugiej, a więc mogą się poruszać swobodnie. Jeśli taka ciecz pozostaje w zupełnym spokoju, jeśli przytém woda się ulatnia lub ciecz w skutek oziębienia tężeje, cząsteczki zaczynają się przyciągać wzajemnie w sposób tak regularny i prawidłowy, że układają się w pewne, ściśle określone kształty. Czasem toż samo ciało w odmiennych warunkach odmienną przybiera krystaliczną postać.

Przytoczymy tu jeszcze jeden przykład krystalizacji tak pospolity, że go każdy może mieć przed oczyma w porze zimowej. Woda jest cieczą w zwykłej temperaturze, gdy zamarza, powstają z niej igielki, z tych igielek tworzą się gwiazdki o sześciu ramionach. Któż nie widział tych pięknych gwiazdek śniegowych? A desenie na szybach szklanych w dni mroźne, czy nie wspaniale wyglądają? Przypatrując im się uważnie, można dojrzeć, że są złożone z regularnych igielek, takich samych, jak śniegowe. Nawet i bryły lodu powstają z igielek i gwiazdek podobnych, chociaż dopatrzyć tego niełatwo, bo są nadzwyczaj zbite i skupione. Uczni ludzkie przekonali się jednak własnymi oczyma, że tak jest w rzeczy samej, a to następującym sposobem: Soczewka szklana, gromadząca promienie światła i ciepła, przybliżyła się do bryłki lodu, a gdy lód ten topnieć zaczyna, można spostrzedz najwyraźniej, patrząc przez dobrą lupę, jak w tém miejscu zarysowują się rozmaite gwiazdeczki i kwiaty, z drobnych igielek utworzone.

Ale wróćmy do naszego przedmiotu i zastanówmy się, czém takie kwiaty lodowe różnią się od kwiatów żyjących, a takie bryłki kryształu górnego od jakiejś graniastej lodygi roślinnej? Zdawałoby się bowiem na pozór, że jedne i drugie przecież wyrastają, wytwarzają się z pewnych materiałów, przybierają kształt pewien, cóż więc stanowi pomiędzy nimi główną, najważniejszą różnicę? Po czém poznajemy, że pierwsze są martwe a drugie żyjące?

Nie potrzebujemy sobie długo nad tém łamać głowy, odrazu bowiem znajdziemy jedną różnicę ważną, uderzającą, która przepaść stanowi pomiędzy światem martwych minerałów i światem tworów żyjących. Ozdobne liście na szybie szklanej powstały w noc zimową, mróz ściął kropelki pary wodnej, unoszącej się w powietrzu, w lodowe igielki i te osadzały się zwolna jedne obok drugich. Gdyby mróz trwał ciągle i gdyby tę szybę zabezpieczyć było można od wpływu powietrza, desenie pozostałyby niezmiennie przez czas niezmiernie długi, póki by ich przypadek jakiś nie uszkodził i nie zniszczył. Zwykle jednak trwają krótko, słońce przygrzewa, igielki lodowe tają i rozplývają się w wodę. Przez cały ten czas nic z téj wody nie ubyło, nic też nie przybyło do niej, zmieniła tylko swój stan skupienia, była cieczą lub parą lotną, stężała potém na lód, wreszcie znów w ciecz się rozplýnęła lub rozproszyła w cząsteczki pary.

Trwalszym jest daleko ów piękny kryształ górny, który także kiedyś przed wiekami powstał z jakiejś cieczy, skryształizował się i przybrał postać graniastosłupa. Możemy go wstawić pod szkło, a przechowa się nienaruszony do nieskończoności, byle nie był wystawiony na zbytne gorąco, lub silne uderzenie. Też same cząsteczki kwarcu, które się w nim skupiły, ułożyły regularnie niegdyś, bardzo dawno, do dziś bez żadnej zmiany pozostały tak samo ułożone i skupione. Istny to obraz martwoty i nieruchomości.

Weźmyż teraz zieloną lodygę roślinną. Jeśli ją odetniemy od korzenia i schowamy także pod szkło, już po krótkim przeciągu czasu spostrzeżemy w niej zmianę wyraźną: lodyga zeschnie, stężeje, stanie się martwą, tak prawie, jak minerał. Lecz zachodzi tu ważna różnica, minerał zawsze był martwy, roślina miała w sobie życie, a gdy ustało, nie zmieniła się przecież w minerał, jest tylko trupem istoty żyjącej. Cóż więc właściwie stanowiło życie lodygi roślinnej, gdy połączona była ze swoim korzeniem? Oto korzeń ten wciągał z ziemi pokarm i dostarczał soków pożywnych całej roślinie, wszystkim jej częściom. Jak minerały zawierają w sobie mnóstwo drobniutek cząsteczek, tak znowuż każdy twór żyjący, czy to roślina, czy zwierzę, składa się z nieprzeliczonych ciałek niezmiernie drobnych, kulistych, zwanych komórkami. Lecz gdy w minerałach cząsteczki pozostają zawsze te same, niezmiennie, w żyjących istotach komórki ciągle się przemieniają, soki pokarmowe krążą w nich bezustanku, przynosząc materiał świeży, dawniejszy zaś zużyty, niepotrzebny, odrzucony jest w miarę przybywania nowego. W liściach i lodygach roślin mnóstwo jest drobniutek szparek, któremi gazy wchodzą z powietrza, a soki wewnętrzne znów w postaci gazu się ulatniają. Tak jak owe soki w roślinach, tak krew krąży w ciele zwierząt i ludzi, żywiąc, odnawiając komórki, które coraz to świeży materiał pochłaniają i ztąd tworzą się wszelkie tkanki żyjące.

Zasadnicza więc, główna różnica pomiędzy minerałem i żyjącym tworem zależy na tém, że w martwym mineralu cząsteczki gotowe gromadzą się tylko, skupiają, układają w pewien sposób, z czego powstaje, czy to piękny, regularny kryształ, czy bezkształtna bryła. W żyjących zaś tworach materiał pierwotny, dostawszy się do komórek, całkowicie, do niepoznania się przemienia. Cóż to naprzykład korzeń roślinny może znaleźć w ziemi? nic innego, tylko martwe minerały lub szczątki zniszczone, przegniłe, różnych żyjących istot. Z tego materiału wytwarzają się jednak rozliczne części ro-

ślin, ozdobnie zabarwione, łodygi, liście, owoce, smaczne pokarmy, które znów z kolei podtrzymują życie zwierząt, zamieniają się w ich krew, ciało, kości.

W państwie minerałów wielka panuje rozmaitość, kilkadziesiąt ciał wchodzi do związków chemicznych, z których się składają wszystkie minerały skorupy ziemskiej; cztery z nich tylko stanowi podstawę tkanek żyjących. Rozbiór chemiczny najściślejszy nie wykrył w nich nic innego, tylko węgiel, trzy gazy, tlen, azot, wodor i małe ilości niektórych innych minerałów takich, jak siarka, żelazo, fosfor. Ale ciała te w różnych stosunkach są z sobą tak dziwnie połączone, że z nich powstaje ta niezliczona moc tkanek zwierzęcych i roślinnych.

Twory żyjące nie mają trwałości minerałów, które także wprawdzie przemieniają się, wchodzą do różnych związków chemicznych, lecz te przemiany wypływają z powodów zewnętrznych, nie są do ich istnienia niezbędne. Roślina zaś lub zwierzę rodzi się i umiera, zostawiając po sobie potomstwo, a przez cały czas swojego życia, czy dłuższy, czy krótszy, przerabia, odnawia nieustannie materyał, z którego się składa. Przemiana ta ustawiczna jest koniecznym warunkiem życia, gdy ustanie, następuje śmierć. Oto jest główna różnica pomiędzy minerałami i tworami żyjącymi.

Młodzi nasi czytelnicy zapewne wiedzieli o tém wszystkiém, gdyż patrzą codziennie na świat Boży i znajdujące się na nim martwe i żyjące twory; lecz może nigdy nie przyszło im na myśl zastanowić się nad tém, co mają przed oczyma; zwykle bowiem to, na co codzień patrzymy, tak nam spowszednieje, że i uwagi nie zwraca na siebie. A jednak dobra to wprawa dla umysłu zastanowić się troszkę nad przedmiotami znanymi tylko powierzchownie, aby je lepiej i gruntowniej poznać.

M. J. Z.

## PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki.**

(Dalszy ciąg).

— Jakto, Hanko, więc prócz choroby nie lękasz się niczego więcej? — zapytał p. Kazimierz.

— Niczego, wujciu — odpowiedziała, patrząc mu śmiało w oczy — bo i cóż spotkać nas może? Gdy nam Pan Bóg da zdrowie, to z resztą walczyć możemy.

— Prawda, moje dziecko, że największém szczęściem człowieka jest zdrowie, ale i przy zdrowiu jest wiele na świecie cierpienie i nieszczęście, z któremi walczyć siły nieraz tracimy.

— Hania tego rozumieć nie chce — rzekła Terenia ze smętnym trochę uśmiechem — że są cierpienia, których określić nie umiemy, a jednak...

— A jednak — przerwała Hanka — czego określić nie umiemy, tego niema, mówię tu o zmartwieniu, Terenia wiecznie się egzaltuje.

— Nie pochwalam Tereni, że smuci się złemi przecuciami i trwoży przedwczesnie — rzekł p. Kazimierz — ale i ty, Hanko, pamiętaj, ażebyś słowem swoim wierną zawsze w czynie pozostała.

— O! wujciu, mówisz jak złowroga przepowiednia — zawołała Hanka ze śmiechem — ale może też nie będę potrzebowała słów swoich popierać czynem, może ja nigdy w życiu

wielkich zmartwień nie będę miała. Czyż mi tak myśleć nie wolno?

— Niedobrze jest jednak myśleć tylko o szczęściu — rzekł p. Kazimierz. — Ale mówmy o czém inném, rozmowa przybierać zaczyna ton poważny, a dziś przecie dzień radośny, bo wróciły ptaszki do gniazdek swego.

— Och, to drogie, kochane gniazdeczko moje — rzekła Hanka, wiodąc wzrokiem dokoła — zdaje mi się, że na świecie całym niema nic miłszego, jak ten nasz domek ukochany.

Franusia wniosła wazę, za nią weszła pani Krystyna i wszyscy zasiedli do stołu.

— Co to za dom duży przybył na końcu wsi? — zapytała Terenia.

— Jakiś nowy właściciel sprowadza się do Żabina — odpowiedział p. Kazimierz — odkupił kawał gruntu od Wojciecha Chruściaka, i pobudował najpierw ten dom, który zwrócił waszą uwagę.

— Niemile sprawia wrażenie ten budynek — rzekła Hania — podobny do niemieckiej szkoły, nie chciałabym w tym domu mieszkać, taki jakiś smutny i ponury.

— Bo jeszcze nie wykończony — rzekła p. Krystyna — te czerwone cegły nie podobały się pewnie Hani.

— Niema przy nim ani jednego drzewka — rzekła Terenia — niema nawet murawy przed domem, tylko goła ziemia.

— I niema kurnika — odezwała się Ewcia — nie wiem gdzie oni będą chować kurki, przecie nie na dworze.

— Przed naszym domkiem jest trawnik, jest taka śliczna lipa — mówiła Jadwinia, zwracając się do Tereni — przed oknami takie śliczne kwiatki, o! u nas bardzo wesoło.

— U nas takie są smaczne gruszki i jabłuszka w ogrodzie — zawołał Kazio, chcąc także należeć do rozmowy — a przy ogrodzie jest taka wygodna buda dla Warty, gdzie sobie śpi ze swoim szczeniakiem, a i Figielek do niej często chodzi.

— I gołąbki mamy — dodała Jadwinia.

— I kaczych, i czubate kureczki — rzekła Ewcia, wracając zawsze do swoich ulubionych kokoszek.

— Wszystko mamy — rzekł Kazio.

— Dzięki Bogu, dobrze nam w naszym domku — rzekła Hanka. — A jak my to teraz pracować zaczniemy, jak ja się zabiorę do gospodarstwa, zobaczy matuchna, co my z naszych krówek za dochody będziemy mieli.

Pani Krystyna uśmiechnęła się lekko, jakby z przymusem, i westchnęła z cicha.

— A ja będę Tereni pomagać w ogrodzie — rzekła Jadwinia — bo co Ewcia, to nie puści się pewnie Hani.

— A ja będę wszystkim pomagać w ogrodzie — rzekł Kazio, nie dając się nigdy pominąć — a najwięcej wujciowi. Czy dobrze, wujciu?

Ale wujcio przez cały czas téj rozmowy milczał zadumany, kręcąc wąż lewą ręką, co było oznaką głębokiego zamyslenia. Na twarzy jego nie było uśmiechu, wzrok utkwiony w jedno miejsce miał wyraz wewnętrznego smutku. Pytanie Kazia wyrwało go z zamyslenia, ale widocznie nie wiedział o co idzie, z czém jednak nie chcąc się wydać, odpowiedział —

— Dobrze, mój chłopcze.

— Tereniu, gdzie piękniej, u nas, czy w Warszawie? — zapytała Jadwinia.

Panienka zarumieniła się trochę, ale nim zdążyła odpowiedzieć, Hanka zawołała z ożywieniem:

— Warszawa śliczne miasto, Jadwiniu, nie może się przecie równać z Żabinem, ani z naszym ubożuchnym dworkiem; ale u nas tak zaciszno, tak miło, że zawsze wybrałabym na mieszkanie nasz domek niziuchny.

— A ty, Tereniu? — pytała dalej ciekawa dziewczynka.

— Ja — zająknęła się nieco dziewczynka — ja... nie wiem jeszcze.

— O! Tereni tylko o nauki chodzi — rzekła Hanka, spoglądając z uśmiechem na siostrę — gdyby w Żabinie zamieszkało ze czterech profesorów, Terenia nie pomyślałaby o Warszawie.

— Czterech? — zapytała Jadwinia, spoglądając zdziwionemi oczyma na siostrę — jest jeden, czy ci potrzebny? toby go Kazio poprosił, p. Grubski bardzo jest grzeczny.

— Czegoby się jeszcze Terenia chciała uczyć? — zapytała Ewcia — ja myślę, że już umiesz dużo, babunia powiedziała, że teraz będziesz uczyć Jadwinię, mnie i Kazia. To pewnie musisz umieć bardzo wiele.

— Aby was uczyć, umiem dosyć — odpowiedziała — ale...

— Ale co? — zapytała znów Jadwinia.

— Nie nudź ty dziś Tereni, Jadwisiu, a raczej nie budź w jej sercu tęsknoty do rzeczy, które się spełnić nie mogą — rzekła Hanka do dziewczynki, i zaczęła sama opowiadać coś wesołego, z właściwą sobie żywością i oddaniem się chwili obecnej.

Patrząc na to dziewczę tak swobodnie wesołe, widząc jej twarzyczkę promieniejącą radością, na której widocznie żadna nie pozostała troska, mogąca ślad jakiś pozostawić po sobie, każdemu robiło się jaśniej w duszy, i mimowoli uśmiech osiadał na ustach, rozchmurzało się czoło. I teraz opowiadaniem swém potrafiła wszystkich ożywić i zająć, nawet pan Kazimierz przestał kręcić wąsy i babunia i p. Krystyna rozśmiały się serdecznie.

(d. c. n.)

## MĄDRA KWOKA.

Przyszły dzieci do kwoki,  
Która koszyk szeroki  
Z pisklętami zajmuje w zakątku;  
I nuż pieścić, całować,  
Chuchać, głaskać, rachować,  
Przyglądać się każdemu pisklątku.

A w tém kwoka tak rzecze:

— Ej, pisklęta człowiecze,  
Wy dziecińcy swobodne, ochocze,  
I wy macie mateczki,  
Z których o swe dziateczki  
Każda się jak ja teraz kłopoce.

Lecz i małe pachole  
Ma już rozum i wolę,  
A więc każde niech zawsze pamięta,  
By mateczki słuchało,  
Jęj pociechą się stało,  
Bo dla dziecka powinność to święta.

## SPRYTNY WALEK.

KOMEDYJKA W TRZECH AKTACH  
przez Kazimierę.

(Dalszy ciąg).

WACIO.

Słuchaj Walek uważnie, widzisz ten list? (wyjmuje list z kieszeni) otóż ten list, no, rozumiesz? (z przyciskiem) ten list oddasz panie Halinie, gdy będziemy siedzieli przy podwieczorku (oddaje list Walekowi, który tenże obraca na wszystkie strony, przyglądając mu się uważnie). No, zrozumiałeś przecie?

WALEK (spoglądając na Waciu).

Juści zrozumiałem; a cy zara ten list oddać?

WACIO.

A czy teraz podwieczorek?

WALEK.

Ni, podwiecerek zawdy po obiedzie państwo jadają, a teraz jeszcze nie dzwonili na połnie.

ZDZIŚ (do Waleka).

A ty kiedy jadasz podwiecerek?



Mądra kwoka.

WALEK (śmiejąc się).

Ja tyz zawdy po połniu.

ZDZIŚ.

A w niedzielę i święta, czy też podwieczorek jadasz po połniu, czy też rano?

WACIO.

Dobrze, a jak panna Halina zapyta z kąd, to co powiesz?

WALEK (z pewnością).

Powiem zara, co panic nie kazał powiedzieć.

WACIO.

Ale nie ja, tylko ten posłaniec.

WALEK (zakłopotany).

To to widzi panic, co ten posłaniec jakoś nie chce wejść do łba, bo to niby go nima, niby jest, ani weź nie mogą sobie wykalkulować.

ZDZIŚ.

Ja ci doradzę, najlepiej powiedz, że nic nie wiesz.

WALEK (ucieszony).

A juści, a juści, panie wej ślicnie wykalkulował, powiem: ja ta nie wiem i koniec.

WACIO.

Ale nie zapomnisz tego do podwieczorku, co?

WALEK.

Abo ja wiem, tera zawdy będę gadał, co nie wiem.

WACIO.

To po obiedzie ja ci to raz jeszcze opowiem a teraz oddaj mi list, bo go możesz zgubić i idź robić, co ci Paweł kazał.

WALEK.

Kazał powymywać skłanki, kubecki, miseck potem kazał...

WACIO (machnąwszy ręką).

No, no, idź już, idź.

(Walek wychodzi).

## Scena III-cia.

ZDZIŚ, WACIO, HALINKA.

HALINKA (ubrana pretensjonalnie z bukiecikiem w ręku).

Ach! cher cousin, co za upał okropny.

WACIO.

Bardzo gorąco, kochana kuzyneczko, co z tą siałą nic dziwnego w lecie.

HALINKA.

Et il en resulte...

WACIO (przerywając).

Wiem, co chcesz powiedzieć, że wyniknie z tej burza, które mówiąć między nami, boisz się sz lenie. Czy nieprawda, Halińko? Ale jak cię kocham, kuzyneczko, mogłabyś to samo powiedzieć po polsku, bo wiemy przecie, że podobno mówisz pięciu językami. Popis więc zbyteczny.

HALINKA (obrażona).

Popisywać nie chcę się, a po polsku to mówią chłopcy wszyscy, taki to język spopolitowany, żadne Francuzy nie chcą mówić nim.

ZDZIŚ (n. s.).

A niech ją też, jak umyślnie kaleczy nasz polny język.

WACIO (wybuchając śmiechem).

Ha, ha, ha! a to paradne te Francuzy, że chcą mówić takim spopolitowanym językiem, ha, ha, to wybornie, ha, ha, ha!

HALINKA (wyniosłe).

Czy nie byłbyś łaskaw powiedzieć, z czego tak śmiejesz? doprawdy, jest to co najmniej niezgrzecznie z twój strony.

ZDZIŚ (n. s.).

No, jak obrażona, wyraża się lepij ojczytym językiem.

WACIO.

Ależ, moja Halińko, jak się nie śmiać, gdy mówisz, że żadne Francuzy nie chcą spopolitowanym językiem mówić; to nie zabawne?

WALEK (drapiąc się w głowę).

Tego jakoś nie bace, widzi mi się...

WACIO (który niecierpliwie chodził po pokoju).

Cicho, gapiu! czy nie widzisz, że pan Zdzisław z ciebie żartuje? Powiedz mi raz jeszcze, co masz zrobić z tym listem.

WALEK (ogładając znów list).

A to... bodajże cię.. (podnosząc głowę) aha! już wiem, oto jak bedo wszyscy siedzieć psy podwieczorku, to psyde i dam ten list panie Hamilce; (z zadowoleniem) a widzi panic, co ze wszystkim spałem.

HALINKA.

Wiem o tém, że po polsku mówią wszyscy, i chłopcy, i dzia-  
dy, a osoby wychowane dobrze, mówią językiem zawsze obcym  
tylko.

ZDZIŚ (*kręcąc głową*).

Co za składnia!

WACIO.

To ci się tylko tak zdaje, moja siostrzyczko, bo osoby pra-  
wdziwie dobrze wychowane szanują i kochają to, co szanować  
i kochać powinny. Pamiętam, jak ojciec przytoczył mi raz  
słowa Kremera:

„...naucz się języka twojego; przyłóż serce do serca twojej  
mowy, bo tak jedynie uczujesz jej tętno tajemnicze; pokochaj  
ją z duszy, jeżeli chcesz być od niej kochanym...”

HALINKA (*wzruszając ramionami*).

Ach! co mnie może obchodzić to, co tam sobie jakiś pan  
Kremer mówił do twego ojca.

ZDZIŚ (*n. s.*).

„Jakiś pan Kremer!” no proszę, panienka widzę zna do-  
brze literaturę (*do Halinki*). To może panna Halina pamięta  
epię, co powiedział Brodziński w jedném miejscu pism swo-  
ch: „Przywiązanie do narodowości ożywia i utrzymuje  
w oświeconych narodach miłość krajny”.

HALINKA.

Proszę mi dać pokój z tymi panami, nie znam tego jakie-  
ros pana Brodzińskiego i listów do mnie nie pisał.

WACIO.

A to może Halinka zna się lepiej z paniami, zapewne pa-  
nięta dobrze słowa Hoffmanowój: „Kto kraju swego nie ko-  
cha, języka nie umie, do szczęścia się jego nie przykłada, ten  
jęzko grzeszy.”

HALINKA (*pogardliwie*).

Vraiment, mon cher, jesteś dziś nieznośny; jak pamiętać  
a mogę, co kto kiedy powiedział, panów tych ani téj pani  
nie widziałam jak żyję.

WACIO.

Brawo! coraz lepiej idzie, a czy też przypadkiem nie znasz  
*z naciskiem* pana Mickiewicza?

HALINKA.

Pana Mickiewicza? nie, nie znam, widziałam zdaje mi się  
tylko chez ma tante jego portret, musi to kuzyn być cioci.

WACIO.

Zdaje ci się, żeś go widziała u twojej ciotki, a ja ci powia-  
mam, Halinko, że portret Mickiewicza znajdziesz niemal w ka-  
dym polskim domu.

HALINKA (*ze zdziwieniem*).

No proszę, ten pan ma tak kuzynów dużo? pewnie nie  
na wszystkich nawet.

ZDZIŚ (*z uniesieniem*).

Ale my wszyscy znamy Mickiewicza, my się nim szczyci-  
my przed światem całym, to nasza chwała, panno Halino,  
wstyd to wielki dla tego, kto zrodzon na polskiej ziemi, nie  
wie nic o naszym wieszczu ukochanym.

HALINKA (*coraz więcej zdziwiona*).

Ach... pan Zdzisław...

(*wbiega Ecia*).

Scena IV-ta.

Ciż SAMI I ECIA.

ECIA (*wesoło*).

Ach! jesteście tu, Dieu merci.

WACIO (*z niezadowolaniem*).

Cóż znów, nie możesz mówić po polsku? Właśnie też do  
naszej rozmowy nadaje się to wtrącanie cudzoziemskich wy-  
razów.

ECIA (*przesyłając mu ręką calusa*).

N'aher pas vous fâcher, mon frère, przecież to nie zbro-  
nia, że mówię po francuzku.

WACIO.

Myślę, że dosyć się narozmawiasz z panną Derbé, a wiesz,  
że ojciec nie pochwała tego paplania bez potrzeby.

ECIA.

No, no, poprawiam się od razu i powiem wam po polsku  
bardzo wesołą nowinę.

HALINKA (*z ciekawością*).

Wesołą nowinę? mów, je meurs d'impatience.

ECIA (*poważnie*).

Halko, daj pokój, widzisz, że Wacio jest obrażony, a może  
ma i słusność, ach! jaka groźba w jego spojrzeniu.

HALINKA (*lekceważąco*).

Oh, je me ris de ses menaces.

WACIO (*do Zdzisia*).

Widziałeś co podobnego? impertynentka, ale ja dam jej  
nauczkę (*do Eci*). Ale cóż to za wesołą nowinę miałaś nam  
zwiastować, słuchamy, choć nie umieramy z niecierpliwości.

ECIA.

Podskoczysz na trzy łokcie, jak się dowiesz.

ZDZIŚ.

Czy tylko nie przesada, panno Elizo.

WACIO.

A więc nowina?

ECIA (*powoli*).

A więc... najpóźniej jutro przyjeżdża do nas ciocia Ru-  
dzka, z Terenią i Florkiem, i to na cały tydzień.

WACIO (*z radością*).

Florek, kochany Florek przyjedzie na cały tydzień do nas,  
wiwat, nowina! No, Zdzisiu, jeżeli przez ten tydzień nie po-  
kręcimy karków, to nie nam nie będzie do samej śmierci.  
Jestem nie wiem czém, jeżeli nie przewrócimy świata do góry  
nogami.

ZDZIŚ (*z uśmiechem*).

Sliczna obietnica, dziękuję za spełnienie.

ECIA.

O, już to pan Zdzisław do żadnych figlów nie ma zdolno-  
ści, chodząca powaga.

HALINKA.

Il n'ya pire eau, que l'eau qui dort.

ECIA (*wzruszając ramionami*).

Niepoprawna! (*do Wacia*). Ale to nie koniec, wyobraź so-  
bie, że z ciocią przyjeżdża nauczycielka Angielka, nie znająca  
żadnego obcego języka, prócz swego.

WACIO.

Jakto, i po francuzku nie mówi?

ECIA.

Ani słowa i to całe zmartwienie, bo co my z nią będziemy  
robić? zanudzi się biedaczka, a ma to być osoba młoda, we-  
soła i bardzo miła.

(*d. c. n.*)

## ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez **Mayne-Reid'a**.

(Dalszy ciąg).

Prawie w każdym porcie, gdzie statek Kalypso zatrzymy-  
wał się dłużej, Henryk zastawał listy od matki i siostrzyczki  
Emilci, a wielka to była pociecha dla niego, że ukochane te  
istoty myślą przynajmniej towarzyszyły mu w dalekich jego  
wędrowkach. Ojciec jednak dotąd mu jeszcze nie przebaczył,  
ani słówka nie napisał nigdy w listach matki i nie przesłał  
mu swego błogosławieństwa. Ciężka to była troska dla mło-  
dzieńca, a wyrzuty sumienia zatruwały mu w każdej chwili,  
i powodzenie obcane, i świetne nadzieje na przyszłość. Dre-  
czył się i niepokoił wśród pomyślności, gniew ojca wydawał  
mu się złą wróżbą i odwagę odbierał.

W chwili, gdy na nowo opowiadanie nasze rozpoczynamy, okręt Kalypso, po długiej żegludze w okolicy wysp Filipińskich i Nowej Walii, powracał do Nowego Yorku, okrążając przylądek Horn. Wiózł on ciężki i bogaty ładunek, złożony z drzewa sandałowego i mahoniowego, z korzeni, szylkretu, pereł i perłowej macicy. Odpocząwszy dłużej w porcie Honolulu na wyspach Sandwich, statek puścił się w dalszą drogę i już od czterech miesięcy był na pełnym morzu, przebywając przestrzeń rozległą, która go dzieliła od przylądka Horn. Przez całe tygodnie nie mógł się wydostać z miejsc, gdzie panują długotrwałe cisze, w końcu jednak natrafił na wiatr zachodni. Zapędził się jednak zadaleko ku wybrzeżom chilijskim, a tu zaskoczył go straszliwy cyklon i to w okolicy, gdzie burze podobne największe przedstawiają niebezpieczeństwo.

Cyklon ten miotał okrętem przez czas jakiś, w końcu wichur uniósł go gwałtownie w kierunku południowo-wschodnim, a po trzech dniach rozpaczliwej walki z tym straszliwym huraganem, okręt Kalypso szybko zbliżać się zaczął do wysuniętych wybrzeży Ameryki południowej, znanych pod nazwą Patagonii i Ziemi Ognistej.

Nieszczęśliwy statek, znacznie uszkodzony w czasie tej ciężkiej przeprawy, z trudnością przesunął się wśród rozrzuconych bałwanów. Cała załoga zebrała się na pomoście. Chodziło o to, aby uniknąć zbliżenia do brzegów, które w tym miejscu są nadzwyczaj niebezpieczne. Wszędzie tu wzdłuż wybrzeży Ziemi Ognistej ciągną się szeregiem straszliwe rafy, zawsze białą pianą pokryte, nawet w czasie największej ciszy; żeglarze przezwali je „Drogą mleczną”, a znakomity przyrodnik Darwin powiedział o nich:

„Sam widok tych wybrzeży mógłby się stać zmorą straszliwą dla człowieka, nienawykłego do niebezpieczeństw żeglugi”.

To nawyknięcie mieli już oddawna na statku Kalypso, nie tylko mężczyźni, lecz także i kobiety. A jednak przerażenie ogarnęło każdego i bladeść pokryła wszystkie twarze, gdy w oddali ukazała się złowroga smuga piany białej, okrążająca brzegi tej niegościnną ziemi.

Henryk Chester stał obok sternika przy rudlu, gotów w każdej chwili pośpieszyć mu z pomocą w razie potrzeby. Zajmował on wprawdzie stanowisko, które go od podobnej pracy uwalniało, był drugim porucznikiem, obowiązki pierwszego pełnił Ned Ganey, syn kapitana. Lecz wśród tak groźnych okoliczności nikła różnica stanów, każdy do ratunku wspólnego musiał przyłożyć ręki, oficerowie na równi z majtkami, kapitan na równi z oficerami. Kapitan z synem byli nadzwyczaj czynni. Niełatwo było nawet utrzymać się na nogach na pomoście, gdyż wichur rzucał gwałtownie statkiem na wszystkie strony. Kapitan Ganey z wielkim trudem zdołał kiedyś niekiedy zajrzeć do mapy, przytwierdzonej gwoździemi do poręczy wschodów. W oczach jego malował się niepokój, myślał bowiem o żonie i dzieciach, którym w tej chwili najokropniejsze groziło niebezpieczeństwo. Cóżby dał za to, gdyby mógł kosztem własnego życia uratować te drogie istoty!

Majtkowie, znużeni czuwaniem i ciężkimi trudami, przemoczeni do szpiku kości, strasznie byli przygnębieni, a i powierzchowność okrętu zmieniła się do niepoznania. Niedawno jeszcze wyglądał okazale, teraz smutny przedstawiał widok; znać było, że ciężkie przechodził koleje, że rozrzucone żywy górę nad nim wzięły. Na masztach wisiały poszarpane żagle, łańcuchy były porządkiem, kadłub poobdzierany; tylko statki wielorybiczne powracają niekiedy w tak opłakanym stanie z dalekich wędrówek.

A na nieszczęście piękna niegdyś Kalypso nie tylko na zewnętrznych ozdobach ucierpiała; jeden z jej masztów był zgruchotany, dwie reje złamane, a na dno okrętu wchodziła woda kilku otworami i dodawała mu ciężaru. Kapitan postanowił zwinąć resztę żagli, gdyż coraz trudniej było kierować ruchami statku, wydawał właśnie stosowne rozkazy, gdy nagle zadrżał, wzrok utknął w punkt pewien na morzu, i stał nieruchomy, jakby w trwożnym oczekiwaniu.

Ujrzał on trzy olbrzymie bałwany, które zmierzały pro-

sto w tę stronę, gdzie nieszczęsna Kalypso walczyła z gwałtownością fali, a poznał odrazu, że niebezpieczeństwo było straszne. Kapitan wiedział, czego się może spodziewać po pocziwym swoim okręcie, lecz wiedział także, iż siły jego musiały się w końcu wyczerpać. Zaledwie miał czas zawołać głosem donośnym:

— Bacność!... Bałwany z prawej strony!... — gdy już pierwsza góra wodna rozbiła się z hukiem okropnym o bok okrętu. Zręczne pchnięcie rudla, który Henryk pochwyił w tej chwili w swoje dłonie, zażegnało niebezpieczeństwo; Kalypso uniosła się wysoko na grzbiecie spienionej fali, potem opadła z wolna, toż samo powtórzyło się z drugim bałwanem. Trzeci uderzył z taką siłą, w bok okrętu, że ten zupełnie się przewrócił i, położony się na falach, masztami dotykając wody, a dno wynurzając z niej prawie.

Była chwila okropnej trwogi, graniczącej z rozpaczą. Jeszcze jeden bałwan podobny, a statek zatonałby niezawodnie. Lecz fale uciszały się widocznie, a dzielny okręt odzyskał równowagę, jak rumak, wstrząsający grzywą, powiewał strzępami żagli, z których woda ściekała obficie i płynął dalej.

Ze wszystkich piersi wyrwał się przeciągły okrzyk radości. Spostrzeżono wprawdzie, że jedna z łodzi, uwiązanych po lewej stronie, zerwała się w czasie tej straszliwej przeprawy i zginęła w otchłaniach wodnych, niemniej jednak załoga cała czuła się ocaloną raz jeszcze i wszyscy jednozgodnie, nie wyłączając kapitana, wzniesli dłonie do góry i wołali z tryumfem: „Wiwat!”

— Dzielna, pocziwa moja Kalypso! — mówił kapitan z dumą.

Niestety! radość ta niedługo trwać miała. Jeszcze nie przebrzmiały tryumfalne okrzyki, gdy ozwał się głos złowrogi:

— Woda zalewa dno okrętu! szpara ogromna!... To niemy!...

Kapitan, syn jego i Henryk Chester rzucili się w stronę, z kąd głos dochodził, zbiegli aż na dno okrętu, a tu nie mogli już wątpić o smutnej prawdzie. Woda gwałtownie zalewała wszystko, jak potok szumiący, gdy zerwie tamę i brzegi przekroczy. Poziom wody podnosił się bardzo szybko, dno okrętu prawie do połowy już było zalane.

— I cóż ty na to mówisz, Seagriffie? — odezwał się kapitan do starego cieśli.

— Mówię, że to niedobra sprawa, lecz że w najgorszym razie rozpaczać nie trzeba, ani rąk opuszczać — odpowiedział ten pocziwiec — szpara ma wprawdzie porządne rozmiary, nie tracę jednak nadziei, że ją zatkać potrafię, byle tylko wodę wypompowali...

Kapitan poskoczył na pomost i huknął:

— Do pomp! Cała załoga do pomp!...

Wszyscy usłuchali w milczeniu, każdy czuł, że walczy o życie. Tymczasem wichur zerwał się znowu i miotał wściekle okrętem, a tu nikt nie mógł pilnować rudla i żagli, kto tylko żył, pracował przy pompach, chociaż po upływie trzydziestu minut okazało się, że praca ta była daremna. Woda nie tylko nie ustępowała z dna okrętu, lecz podnosiła się coraz wyżej, statek coraz o ciężaliej się poruszał, zanurzał się głębiej i głębiej, nie było ratunku, musiał zatonać!

— Dosyć, moje dzieci, niema rady — rzekł w końcu kapitan — rzućcie pompy i przygotujcie łodzie ratunkowe. A pamiętajcie! porządek przedewszystkiem, od tego zależy zbawienie nasze!

Miał on sposób przemawiania spokojny i stanowczy, który nadzwyczajny wpływ wywierał na majtków. To też spuszczenie łodzi, wcale nie łatwe w podobnych warunkach, odbyło się w największym porządku. Na nieszczęście trzy już ich tylko pozostało: wielka łódź żaglowa, szalupa i mniejsza łódka. Miejsca było dosyć na pomieszczenie całej załogi, lecz zabrakło go na zapasy żywności. Nie było zresztą i czasu myśleć o tym, należało śpieszyć, gdyż niebezpieczeństwo co chwila stawało się groźniejsze.

Kapitan objął dowództwo nad szalupą, usadowiwszy w niej żonę i córkę, Ned Ganey wsiadł do większej łodzi

a Henryk do mniejszej. Każdy zabrał z sobą co mógł, trochę odzienia, broń, narzędzia rozmaite. Postanowiono o ile możliwości trzymać się razem i kierować łodzią na wschód, gdzie pośród mgły wynurzał się jakiś śpiczasty cypel lądu. Żeglarze pożegnali się naprędce wzajemnie skinieniem głowy, kilku słowami serdecznymi, potem wszystkie trzy łodzie pomknęły szybko, oddalając się od okrętu.

Pora już była!... zaledwie żeglarze nasi odплыли na kilka metrów od nieszczęsnego statku, gdy bałwan olbrzymi zwał się na niego i zatopił go całkowicie. Poszedł jak kamień na dno oceanu.

Prędzej daleko aniżeli opowiedzieć to zdołamy, cały kadłub, pokład, wreszcie reje i maszty zapadały w otchłanie wodne, wśród przeraźliwego wrzasku ptactwa morskiego, które ze wszystkich stron zlatywało się na to smutne widowisko. Siedząc u steru szalupy, kapitan Ganey spoglądał na to wzrokiem ponurym, tłumiąc ciężkie westchnienia.

— Biedna Kalypso!.. Biedny, pocziwy mój statku!... — wyrzekł półgłosem, gdy wierzchołki masztów znikły mu z oczu — tyle lat pracy, zabiegów, trudów, i wszystko przepadło w jednej chwili!...

A wtém rączka Madzi oparła się na ramieniu ojca, dziewczę szepnęło ledwo dosłyszonym głosem:

— Życie nam pozostało, jesteśmy razem, czyż to nic nie znaczy?...

— Prawda, prawda! — odrzekł zacny marynarz, obejmując córkę i przyciskając ją do serca — nie wszystko jeszcze stracone, skoro mi Bóg was zostawił. A wy, dzieci — dodał, zwracając się do majtków — nie szcędźcie sił, a niezadługo przybijemy do lądu.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

Niedawno w pogadance naukowej opowiadaliśmy czytelnikom o kometach. Otóż obecnie aż dwie komety pojawiły się na niebie; nie widzimy ich wprawdzie, bo są jeszcze zaledwie oddalone od ziemi, więc gołym okiem nie mogą być dostrzeżone, tylko astronomowie oglądają je przez swoje lunety. Ale jeden z tych astronomów obliczył, że w Kwietniu obie te komety przywędrują do nas bliżej i wtenczas obie będą widzialne. Obaczymy, czy spodziewani goście nie zawiodą oczekiwania. Uprzedzamy naszych czytelników, aby uważnie spoglądali na niebo, gdy Kwiecień nadejdzie, a kto pierwszy spostrzeże, czy to jedną, czy obie komety, niech nam o tém jaknajspieszniej doniesie.

## PROZA I POEZJA.

Wieczór odziany chmurami, już zorze zachodnie gasną krwawymi blaski; bałwany i morze dalekie błyszczą, a z za gęstwiny na górze dym siny podniósł się w niebo.

\* \* \*

W wianku sosnowym, na górze, mury świątyni bieleją; bezustanku goreje w niej ogień bogini litewskiej; dwanaście dziewczę swojemi go tli białemi rękoma.

\* \* \*

TREŚĆ: Martwe i żyjące twory, pogadanka naukowa (z drzew.) — Prawdziwe bogactwo, powieść przez autorkę Reginki (c. d.) — Mądra kwoka, wiersz (z drzew.) — Sprytny Walek komedyjka w trzech aktach p. Kazimierę. — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez MayneReid'a (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówni, rozwiązania i ogłoszenie. W Dodatku: Niedrogi pistolet, (z drzew.) — Wilk i jeź, bajka Franciszka Morawskiego wierszyk. — Podarunek wujaszka p. Ukrainkę na Mazowszu. — Zazdrosny kotek (wierszyk) p. Azeta. — Przygody nieposłusznej Adelci, tłumaczyła z angielskiego L. T. (dokończenie). — Łamigłówni i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach, z francuskiego.

I żeglarz zbłąkany nieraz, gdy burza szaleje z łodzią, wierzch góry odziany w sosny, ogień, co tleje na górze, i bóstwo w rozpaczę wzywa, aż zobaczy znak wybawczy.

(Z tej prozy ułożę trzy strofki wierszy rymowych, sześciowierszowych).

### Łamigłówni liczbowa.

(ofiarowana autorce „Reginki” przez Orła i Słowika).

Z 8 liter nazwisko zakonnika polskiego z XVIII wieku, wielce zasłużonego w zawodzie nauczycielskim. Przystawiając litery otrzymamy: 7, 2, 6, ptak — 1, 2, 5, 4, powłoka drzew. — 3, 4, przyimek — 2, 3, 4, zaimek — 6, 2, 1, plyn — 6, 4, 3, rzeka w Galicyi — 5, 4, 7, skorupiak — 3, 2, 5, 4, kryjówka podziemna — 5, 4, 3, 2, wczesna pora dnia — 5, 2, 1, miara czasu.

### ROZWIĄZANIA DO N. ru 5-go.

#### Homonimów:

Kornelia.

#### Łamigłówni kryształowej:

				K					
				R	A	K			
			W	A	Z	O	N		
	K	A	M	I	L	L	A		
K	A	Z	I	M	I	E	R	A	
	J	U	L	I	U	S	Z		
		B	R	E	M	A			
			K	R	A				
				A					

#### Łamigłówni historycznej:

Ludwik XIV król francuzki i Wilhelm III król angielski panowali w XVII wieku.

### PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY,

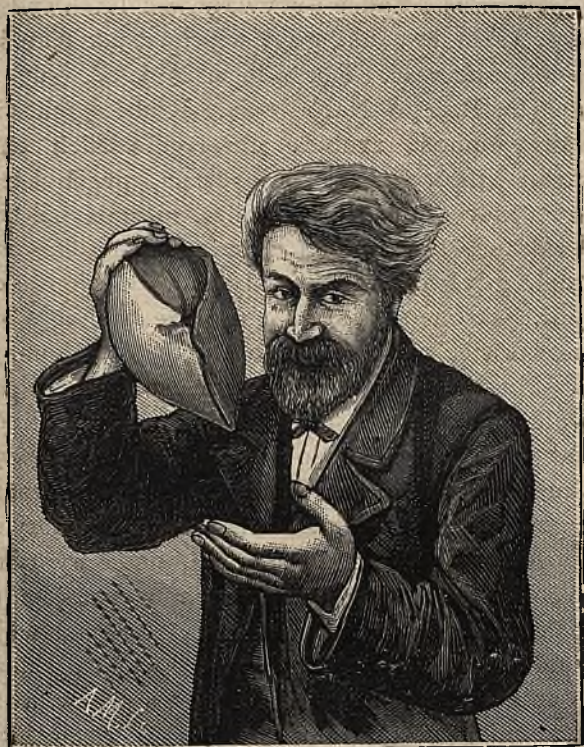
czasopismo poświęcone sprawom wychowania szkolnego i domowego.

Skład główny i ekspedycya w księgarni Teodora Paprockiego NOWY ŚWIAT Nr. 41.

Nr 3 zawiera: 1) Lekcja geogr. dla uczniów w wieku od lat 12 do 14. 2) Z arytmetyki. Lekcja o stosunkach i proporcjonalności p. S. Dicksteina (d. c.) Listy T. T. Jeża ze Szwajcaryi. W kwestyi przeciążania pracą uczącej się młodzieży. 4) Głosy nauczycieli i wychowawców. Kilka uwag, mogących się przydać przełożonym szkół i nauczającym p. A. J. 5) O uwadze i jej kształceniu według James Sully p. S. B. (d. c.) 6) Krytyka i bibliografia. Wydawnictwo „Przyjaciela Dzieci” powieści historyczne E. Zoryana ocenił S. W. 7) Z prasy. Przewodnik gimnastyczny — Revue pédagogique — Paedagogium, Monatsschrift für Erziehung und Unterricht — Journal of Education. 8) Aleksander Gostkowski, wspomnienia pośmiertne. Dodatek: Zadania na ułamki S. Dicksteina od str. 120 — 128.

NIEDROGI PISTOLET.

Adaś zobaczył raz u znajomego chłopczyka Ignasia prześliczny pistolet. Nabijał się korkiem, a gdy korek wylatywał, pistolecik pukał tak głośno, że mała Mania, siostrzyczka Adasia, aż krzyknęła z przestachu i uszki sobie zatknęła. Adaś nie bał się pukania, tylko wołał za każdym razem: „Paf! paf!” i obaj z Ignasiem śmieli się z Mani, że taka jest bojaźliwa. Ignas opowiadał Adasiowi, że są jeszcze w sklepach inne pistoleciki, co się nabijają pistonami i głośniej pukają. Ale mama nie chciała mu takiego kupić, bo te pistony są bardzo niebezpieczne dla dzieci, mogą wyskoczyć z pistoleciku przy



Niedrogi pistolet.

strzelaniu, okaleczyć, wpaść w oko, niejedno dziecko od tego oslepiło. Korek także strzela doskonale, a nie jest niebezpieczny.

Adaś przez kilka dni myślał ciągle o tym ślicznym pistoleciku i prosił mamy, żeby mu taki sam kupiła. Mama powiedziała, że teraz nie ma pieniędzy, bo musiała właśnie kupić nowe trzewiczki dla Mani, a dla Julci, starszej siostrzyczki Adasia, która już chodzi na pensję, książeczki szkolne, nie zostało więc ani grosza na zabawki. Adaś nadąsał się brzydko bardzo, buzię nadął, czoło namarszczył, a gdy Mania przybiegła do niego i zapytała grzecznie o coś, on ją odrzącił i krzyknął:

— Idź sobie, nie dokuczaj mnie!

— Cóż to się stało Adasiowi, że w takim złym humorze? — zapytał wujcio, który na to właśnie wszedł do pokoju.

— Chciałby dostać pistolecik z korkiem — powiedziała mama — i tak ładnie prosi o niego.

Adaś zawstydził się okropnie, miał wielką ochotę płakać, ale się powstrzymał i pobiegł grzecznie przywitać się z wujaszkiem.

— Nie dziwię się wcale, że Adaś tak wdycha do pistoletu — rzekł wujcio — bo i ja sam bardzo lubię pukać ze strzelby do zajęcy, do kuropatw; pif, paf! pif, paf! Wiesz co, chłopcze, gdybym tak wiedział, że nie będziesz już się napierał i dokuczał mamie, a potem żebyś przeprosił mamę i Manię także za to, żeś tak niegrzecznie ją potrącił, tobyśmy sobie zrobili pyszny pistolet papierowy.

— Papierowy pistolet!... — rzekł Adaś, kręcąc głową z niedowierzaniem — a jakże papier może strzelać?

— Głośniej daleko od pistolecika z korkiem — mówił wujcio — ale jeżeliś nieciekawý...

— O, wujciu! proszę zrobić ten pistolet.

— A cóż to ja powiedziałem? — odrzekł wujcio — pistolet zrobić, to fraszka, ale mówiłem, że zrobię, jeżeli ty... no, cóż to ja mówiłem?

Adaś pobiegł pędem do mamy, pocałował ją w rączkę tak głośno, jakgdyby z pistoletu wystrzelił, potem schwytał Maniusię za szyjkę i wyściskał ją, powtarzając:

— Przepraszam, przepraszam, siostrzyczko, nie gniewasz się?

— Nie, nie, tylko mnie już puść — wołała Manusia.

— A teraz niechże wujcio pistolet zrobi — rzekł Adaś.

Wujcio wziął arkusz grubego, mocnego papieru, złożył go bardzo jakoś dowcipnie, potem długo dmuchał w ten papier, nadął go, jak pęcherz, podniósł, uderzył raptem o rękę, i paf! papier naprawdę tak huknął głośno, prawie jak prawdziwy pistolet, daleko głośniej od pistolecika z korkiem. Adaś chciał sam spróbować, ale nie mógł żadnym sposobem tak dobrze nadąć papieru, więc wujcio wystrzelił jeszcze kilka razy, aż w końcu papier się rozdarł.

— E to nic — powiedział wujcio — żeby się nam ten kupny pistolecik popsuł, toby go trudno było naprawić, ale papieru dosyć jest w domu.

I zrobił wujcio drugi taki papierowy pistolet, mniejszy troszkę, i Adasiowi nakoniec udało się nabić go i wystrzelić, nie tak głośno, jak wujcio, ale zawsze nieźle.

— Mój wujciu, co to tam tak zabawnie strzela w tym papierze? — zapytał chłopczyk.

— Powietrze — odpowiedział wujcio — dmuchając w ten woreczek papierowy, napychamy tam dużo powietrza i jemu tam ciasno się robi w takiej ciupce, więc radeby się wydostać. Widzisz, jak papier wydyma się na wszystkie strony, to powietrze tak go naciska. Gdy ja raptem uderzę o rękę torebką papierową, nadętą mocno, otwierają się w niej szparki i powietrze szybko się wymyka, a przytém sprawia taki łoskot.

Adaś bawił się doskonale pistoletem papierowym, a gdy w miesiąc potem nadeszły jego imieniny, mama



kupiła mu na wiązanie śliczny pistolecik z korkiem. Nie dostałby go był z pewnością, gdyby się był dłużej napierał, grymasił i nie przeprosił mamy w porę.

## WILK I JEŻ

BAJKA FRANCISZKA MORAWSKIEGO.

Liczne zwierzęta w pewnym wielkim lesie,  
Syte nareszcie, i boju, i chwały,

Gdzieś tam na walnym kongresie  
Wieczny pokój podpisały.  
A więc radość i skakanie;  
Co za grzeczne oświadczenia,  
Jakie łapek podawanie,  
Jakie ogonów kręcenia!

Aż miło patrzeć, jak to lew z tygrysem,  
Lampart z niedźwiedziem, zając igra z lisem,  
Jak się ze łzami ściskają rzewnemi  
Wilk z baranem, pies z kotem, a osieł z wszystkiemi.

Wśród téj atoli radości, skakania,  
Lub przynajmniej udawania,  
Sam jeź na stronie stał sobie spokojny.  
Nuż więc do niego pewien wilczek zdradny,  
Chytry, układny,

Skryty podszuczawacz tyloletniej wojny,  
Zbliża się, łasi, i tak mu powiada:  
— Szanowny jeżu, cóż cię to napada,  
Chceszże rozrywać to święte przymierze,  
Co nam wieczystą zaręcza pogodę?  
Czyż to przystoi na tak światłe zwierzę,  
Samemu się najeżać na powszechną zgodę?  
Małoż to jeszcze krwi naszej po świecie?  
Jeżu, ach, jeżu! pomiarkuj się przecie...  
Jeż wzniesionemi mierząc go oczkami,  
— O cóż ci idzie? — skromnie mu przerywa.  
— O rzecz małą — wilczek się odzywa —  
Zrzuć swoje kolce i pójdź igrać z nami  
— Mam igrać z wami? — zręczny jeż odpowie—  
Prawda, że całe bezpieczeństwo jeży

Od samych kolców zależy,

Ale któż twojej oprze się wymowie?  
Zrzucę je, zrzucę, natychmiast to zrobię,  
Skoro ty ząbki każesz wyrwać sobie.  
Przebac, stare przysłowie mamy w naszym rodzie:  
Bądźcie z wilkiem ostróżni nawet i po zgodzie.

## PODARUNEK WUJASZKA.

Tadzio i Emilka, było to najmłodsze rodzeństwo dość licznej gromadki starszych dzieci pp. C. Wszyscy starsi bracia i siostry Tadzia i Emilki, jakoteż i ich rodzice, mieli jakieś wyznaczone zajęcia, tak, że każde z nich pracowało, bądź na mieście, bądź w domu przez dzień cały, a schodzili się wszyscy razem dopiero wieczorem, wtedy

gdy dzieci udawały się do łódeczek. Przy życiu niezmiernie pracowitem nie spostrzeżono się jakoś, że Tadzio i Emilka wyrastali już z pierwszego dzieciństwa, i że trzeba już było dla nich pomyśleć o nauce takiej, jaką pobierali Antoś i Róża, starsze o lat kilka ich rodzeństwo, które pilnie uczęszczało do szkoły. Gdy się zeszło grono domowe, to starsze dzieci wrywały tylko sobie Tadzia i Emilkę, by je obdarzać pieczyotami, i ponieważ oni byli najmłodszy, wszystkim się zdawało, że są bardzo malutkimi dziećmi. Tymczasem dzieci te, choć nie znały ani literki, wiedziały jednak, że nauka je czeka, a starsi spostrzegą się wkrótce, że trzeba się więcej niemi zająć i poważniej, bo zresztą nic im nie brakowało. Rodzice wszystkiego dostarczali, a wymagali tylko od Tadzia i Emilki, aby się grzecznie bawili, gdyż uważano ich za malców.

Dzieci zaś, które się tym sposobem rozleniwiły troszeczkę, dobrze położenie swoje zrozumiawszy, drżały na każdą wzmiankę o nauce i używały wszelkich sposobów, by nie przyszło do nauki, gdyż widziały, jak Antoś i Róża musieli pracować. Tak było czas jakiś, gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia. Rodzice, chcąc dzieciom przyjemność zrobić, ubrali dla nich choinkę, i zaprosili kilkoro znajomych dzieci, przybył też i ich wujaszek, którego Tadzio i Emilka niezmiernie kochali. Wujaszek ten, brat ich mamy, przypatrując się uważnie dzieciom, gdyż często się widywali, znał je doskonale i odgadł, jak one się bały nauki, a że kochał je bardzo, postanowił więc znaleźć sposób, aby téj nauki same zapragnęły. Mógł on odrazu zwrócić na to uwagę rodziców, lecz wolał, aby dzieci same konieczność nauki poznały i czekał tylko na tę sposobność. I nadarzyła się: oto co roku kupował on na święta Bożego Narodzenia rozmaite podarki dla swych siostrzeńców. Młodszym dzieciom dostawały się zwykle zabawki, na co i w tym roku liczyły. To też nie bardzo pięknym zwyczajem niektórych dzieci, Tadzio i Emilka, skoro tylko wszedł wujaszek, podbiegli ku niemu i zaczęli się oglądać za podarunkami, na co aż wujaszek się uśmiechnął, a przywitawszy się ze starszymi, wyjął z tłómczka dwa pakieciki, z wypisanemi ich imionami na wierzchu, i ofiarował je dzieciom na gwiazdkę. Zaledwie podziękowawszy dobremu wujaszekowi, z bijącym sercem rozwijało każde z dzieci swój pakiecik, na co i mali ich goście z ciekawością patrzyli; lecz o dziwo! jakież widok dla Tadzia i Emilki; zamiast pięknych zabawek, ujrzeli książki, bardzo ozdobne i zajmujące, ale czyż oni mogli to ocenić? To też na widok takiego podarku, którym inne dzieci w tym wieku najwięcejby się cieszyły, Tadzio pokraśniał jak piwonja, a Emilce łyzy zakręciły się w oczach, chcieliby się schować pod ziemię razem z książkami, a tu jak na toż ich mali goście chcą je gwałtem oglądać.

Lecz dobry wuj wybawił ich z kłopotu powiedziawszy, aby schowali książki, i zabawiali się choinką, odłożywszy na później oglądanie obrazków, co dzieci skwapliwie czyniwszy, zaczęły się bawić w różne gry. Lecz wśród największej ochoty, Tadzio i Emilka pośpieszyli na wezwanie wujaszka, który wszedłszy z niemi do pokoju, gdzie nikogo nie było, odezwał się w te słowa:

— Moje drogie dzieci, przykro mi bardzo, że wam na taki wstyd naraził, lecz spodziewam się, że za rok bę

dziecie mi za to wdzięczne, gdyż zapewne nie zechcecie narazić się na taką przykrość po raz drugi, i nie pogardzicie daną wam nauką, a na przeprosiny, ja sam będę wam udzielał początkowych nauk.

Tadzio i Emilka, zrozumiałwszy potrzebę nauki, ocenili dobroć wujaszka, i obiecali, że pilnie uczyć się będą, dotrzymali słowa, i dowiedli, że można i trzeba koniecznie zwyciężać lenistwo.

*Ukrainka na Mazowszu.*

## ZAZDROSNY KOTEK.

Siedzący na wezgłowie, tak raz mrucał kotek:  
 — Nie pojmuję człowieka, który mną się bawi,  
 Lubi mię niby, pieści, nie szczędzi łakotek,  
 Czemuż więc mych przymiotów tak jak psich nie sławi?  
 — To dla tego — rzekł człowiek — że tyś jest zabawny,  
 Pies zaś dzielny i wierny, i przeto jest sławny.

*Azet.*

## Przygody nieposłusznej Adelci,

TEÓMACZYKA Z ANGIELSKIEGO L. T.

(Dokończenie).

— Mamo — szepnęła do pochylonej nad nią matki — jak wszyscy wyjdą, to ci powiem, co mi się przytrafiło.

Ojciec się usunął, Maryanna wyszła z pokoju, a Adelcia wyznała matce prawdę.

Matka, wysłuchawszy z wielkiem zajęciem jej opowiadania, ucałowała ją i skierowała się ku drzwiom, mówiąc:

— Zaraz o tém z sobą pomówimy, teraz jednak muszę opowiedzieć to ojcu i dopiero powrócę. Ale czego chcesz jeszcze, moje dziecko?

— Moja matusiu, czy naprawdę *musisz* to powiedzieć i dzieciom państwa D.?

— Zapewne, córeczko; biedne dzieci ogromnie się przestraszyły, widząc, jak upadła i muszę je uspokoić.

— Tylko niech mateczka prędko powraca.

Po chwili mama weszła napowrót do pokoju.

— Adelciu — rzekła — pani D. i jej dzieci kazały ci opowiedzieć, że cię czekają w ogrodzie, jak tylko odpocznieś, a potem pójdziesz do nich na herbatę.

— Ach, mammo! — zawołała Adelcia, czerwieniąc się — nie, nie, proszę cię, powiedz, że nie.

— Dlaczego? Wczoraj przecież z radością byłabyś przyjęła to zaproszenie od „jasnowłosych dzieci”.

— Tak! Ale dziś wszystko się zmieniło.

— Co się zmieniło, moja córeczko?

— Ach, mammo, mammo, zmieniło się!

— Nie widzę żadnej różnicy, Adelciu; dzień jest równie piękny, morze spokojne a ogród ładny i wesoły, jak wczoraj.

Adelcia bawiła się chusteczką i szepnęła coś o dzieciach.

— Cóż ci znów przyszło do głowy? dzieci bawią się wesoło i grzecznie, tak samo, jak wczoraj. Pomyśl, Adelciu, co się mogło zmienić?

Dziewczynka milczała, a mama ciągnęła dalej:

— Czyś słyszała, moje dziecko, o pięknym ogrodzie, daleko na wschodzie, gdzie Pan Bóg osadził dwoje szczęśliwych ludzi, pozwalając im używać wszystkiego, oprócz jednej tylko rzeczy?

— Mateczka mówi o raju, nieprawdaż?

— Tak, kochanko. A teraz powiedz mi, co zamieniło ich szczęście w wielkie zmartwienia i niedolę?

— Byli nieposłuszni.

— Tak, córeczko. Nieposłuszeństwo zmieniło ich radość w smutek i cierpienie.

— Tak, mammo, i dla mnie dzisiaj nie takie jak wczoraj.

— Ale powiedz mi, co się zmieniło.

— Wszystko, mammo, *wszystko*.

— Jako *wszystko*. Czy kwiaty straciły swoje cudne barwy, ptaszki umilkły, słońce przestało świecić, a drzewa poschły?

— Nie, mateczko. Mnie się zdaje, że wszystko zostało tak jak było, tylko, tylko!...

— No i cóż, moje dziecko?

— Ach, matuniu najdroższa, wszystko pozostało jak było, dzień jest piękny, ptaki śpiewają, morze spokojne, i te dzieci jasnowłose tak samo się bawią, tylko ja byłam nieposłuszna i wszystko wydaje mi się inaczej.

I dziewczynka ze wstydu ukryła twarz na kolanach matki.

Matka uściskała rozżaloną dziewczynkę i rzekła:

— Cieszę się, żeś sama swój błąd poznała, z pewnością poprawisz się z niego, a zapamiętaj to sobie, moja córeczko, że najczęściej własną winą pozbawiamy się przyjemności. Dziś przy pacierzu podziękuj Bogu, że ci pozwolił od razu poznać winę, którąś popełniła i proś o wytrwanie w dobrém. A teraz chodź do mego pokoju, Maryanna cię ubierze, a ja zaprowadzę cię do ogrodu.

W parę minut później, Adelcia, ubrana podobnie jak Kostusia, wchodziła z mamą do ogrodu. Z nieśmiałością zbliżyła się do dzieci, ale ich serdeczne powitanie, ich radość z poznania jej, zatarły pierwsze przykre wrażenie i wkrótce bawiła się z nimi wesoło.

Dzień ten jednak na zawsze pozostał jej pamiętnym, nigdy nie zapomniała, że każde przewinienie sprowadza zasłużoną karę. Odtąd zawsze słuchała rodziców, starając się poprawiać z wad, jakie każde dziecko mieć musi.

## ZAGADKA.

Ułożona przez Ludwika Niemojowskiego dla czytelniczek i czytelników niniejszego pisma.

Kiedy na niebie jasne promienie  
Gasną słoneczka,  
Wtedy powstaje nasze istnienie  
Z schyłkiem dzioneczka.  
Tajemniczemi skryte mrokami,  
W szarąj oponie,  
Jesteśmy nocy poprzednikami,  
Co w cieniach tonie;  
Ledwie się zjawim, ustaje praca,  
Świat tchnie spokojem,  
I rolnik do swęj zagrody wraca,  
Strudzony znojem,  
Ustają gwary na polu, łące,  
Gdzie chaty, sioła,  
A świegotliwych ptasząt tysiące  
Milknie dokoła.  
Kiedy zaś nosim „rodziny” miano,  
Wśród polskiej prasy,  
Wtedy zajmujem działwę kochaną  
Po wszystkie czasy.  
Dajem wierszyki, dajem powiastki,  
I komedyjki;  
Dla Jasia, Helci, Julci i Nastki,  
Rózi, Maryjki.  
I pojawiajmy się co sobotę  
U grzecznych dziątek,  
Które miłując rodzinną cnotę,  
Słuchają matek.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 4-go.

Łamigłównki głoskównj:

Trawka.

## Skrzynka do listów.

Zięba przysłała do naszej redakcyi pieska z czerwoną obrózką, z ładnym liścikiem; piesek miał oprócz tego w pyszczku całego rubla dla biednego dziecka, które straciło rodziców w czasie pożaru. Ta kochana Zięba musi być dobrą i miłą ptaszyną, dziękujemy jej serdecznie w imieniu sierotki.

Trzpiotka dobrze robi, że sobie śpiewa i skaeze do woli, bo to bardzo zdrowo dla małych dziewczynek, a jeśli przytém lubi uczyć się i dużo czytać, to już nic a nic takiej Trzpiotce nie mamy do zarzucenia. Powiastka jest wcale niezła, czy tylko Trzpiotka ją sama, bez żadnej pomocy napisała?

Wiochna nadesłała łamigłównkę dobrze ułożoną, ale tak długą, że za dużo zajęłaby miejsca w Piśmie. Trzeba do tego krótsze jakie zdania wybierać.

Wiochnie z pod Lublina przesyłamy odpowiedź imienniczki.

„Kochana Wiochno! Nietylko co do wyboru pseudonimu sympatyzowałyśmy z sobą, ale i co do zamiaru korespondencyi za pośrednictwem „Wiecz. Rodz.” Tylko, że gdy ja dopiero miałam szczerzy zamiar napisania, ty mię uprzedziłaś wykonaniem. Rze-

czywiście piękny wiersz Lenartowicza dał mi myślę podpisania się pseudonimem „Wiochny” a słyszę go często, gdyż moja młodsza siostrzyczka uczy się go obecnie na pamięć. Mam dwoje rodzeństwa, wszyscy się uczy my i dla tego przenieśliśmy się ze wsi do Warszawy. Ty też napisz mi co porabiasz i przyjm uściśnienia życzliwej

Wiochny”.

Pliszka z nad Gopła zapytuje, dla czego sprawozdanie z zadania konkursowego się opóźnia, skoro termin do 15-go Stycznia był naznaczony. Zapomina kochana Pliszka, że na odczytanie mnóstwa nadesłanych odpowiedzi, wybranie najlepszych do nagrody i wydrukowanie ich w Piśmie, potrzeba troszkę czasu. Szaradę wydrukujemy.

Jutrzenca, Tabace i Fajce przesyła pozdrowienie Pliszka z nad Gopła.

Jerzynkę z Drewnicy mieliśmy za chłopczyka, sądząc z poprzedniego pseudonimu. Dziurka ma imię Rózia. Zagadki Jerzynk, będą drukowane, oprócz pierwszej; jest w niej omyłka, gdyż nazwisko kierowniczk „Wieczorów Rodziny” pisze się Zaleskai a nie Zalewska.

Jaskółka z nad Bugu tym razem dobrą ułożyła łamigłównkę, wydrukujemy ją chętnie.

Wiktoria regia ułożyła szaradę, która byłaby dość dowcipna, gdyby zgłoski rzeczywistie w tym wyrazie tak się rozdzielały, Lecz podział: Ja-s-kółka jest niemożliwy nawet w szaradzie.

Anemona nazywa się po polsku sasanka, a *Hepatica* przyłasczka; czyż nie lepiej jeden z tych wyrazów wybrać na pseudonym?

Pewien chłopczyk imieniem Adamek ma lat 7 dopiero, a już dosyć dobrze czyta, umie na pamięć różne wierszyki, a gdy zachoruje, bierze lekarstwo bez żadnych prośb i grymasów. Odczytuje też zawsze Dodatek w naszym Piśmie. Miłoż to słyszeć o takich grzecznych dzieciach i my też ucieszyliśmy się tą wiadomością o Adamku, którą przyniósł do naszej redakcyi jakiś Motylek, co się dziwnym przypadkiem wśród zimy znalazł w Warszawie.

Firletka biała znowu ma dwa liściki:

„Kochana Firletko! Bardzo ci dziękuję za zagadkę, ale nie byłam tak domyślna, ażeby ją zaraz odgadnąć, a siostra moja Trawka widać że ma sprycik, bo jak tylko wzięła w rękę „Wieczory”, zaraz odgadła.

Życzliwa Aurykla”.

„Ja ci także bardzo dziękuję za łamigłównkę dla mnie ułożoną i serdeczne pozdrowienie przesyłam.

Zegarek”.

Niezapominajka z nad Horynia nie bardzo uważnie musi czytać nasze Pismo, skoro dotychczas pisze: „posełam, zaselają”, chociaż zwracaliśmy uwagę kochanych korespondentów, że powinno się pisać: posyłam, zasylam. Z resztą liścik jest bez myłki pisany i taką ładną kaligrafią, że z wielką przyjemnością zaliczamy Niezapominajkę do stałych korespondentek.

Gwiazdka z nad Chorola wcale się nie opóźniła z przesyłką; pozostawiamy umyślnie na to dość czasu, aby i najdalej zamieszkali czytelnicy mogli do konkursów należeć. Ale do kogo też to Gwiazdka pisze w swoim liściku: „Szanowny Panie!” Czytając nie od dziś nasze Pismo, powinna Gwiazdka wiedzieć, że kierowniczką jego jest kobieta. Szarada z podpisem L. Z. nie zupełnie dobrze ułożona, gdyż wyrazy *tur* i *tor*, mając pisownię odmienną, za jedno uchodzić nie mogą.

## SPROSTOWANIE.

W N-rze 6-tym na str. 42 szpał. 2 wkradła się omyłka; rozwiązania na zadania konkursowe nie do 10 Marca, lecz do 15-go Marca będą przyjmowane.